

Heidi Bratton

macierzyństwo

zostajesz
mamusią
i wszystko
się zmienia

Przekład
Jakub Kołacz SJ

Wydawnictwo WAM
Kraków 2012

Tytuł oryginału
Making Peace with Motherhood...
and Creating a Better You

Published by Paulist Press
997 Macarthur Boulevard
Mahwah, New Jersey 07430

Copyright © 2002 by Heidi Bratton

© Wydawnictwo WAM, Kraków 2012

Przygotowanie do druku
Barbara Cabała

Projekt okładki
Andrzej Sochacki
zdjęcie © depositphotos

(Cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia, wyd. V, Poznań 2000).
Wydanie drugie

ISBN 978-83-7767-137-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Spis treści

Wprowadzenie, czyli przewijanie dziecka zmienia twój świat	7
---	---

CZĘŚĆ I

Jak pogodzić kobiecość i macierzyństwo

ROZDZIAŁ I

Jak przynosić owoce, czyli o realizowaniu pobożnych życzeń	15
---	----

ROZDZIAŁ II

Macierzyństwo „wrodzone”, czyli utożsamienie się z rolą matki oraz poczucie własnej wartości	43
---	----

ROZDZIAŁ III

Jak pogodzić pracę i dom, czyli staraj się zrozumieć samą siebie	71
---	----

ROZDZIAŁ IV

Jak odnieść sukces marnując swoją wiedzę, czyli macierzyństwo i wyższe wykształcenie	105
---	-----

CZĘŚĆ II

Skoncentrowanie na rodzinie i dzielenie tego doświadczenia z innymi

ROZDZIAŁ V

Duchowy pokój, czyli o wewnętrznych ograni- czeniach związanych z macierzyństwem	119
---	-----

ROZDZIAŁ VI

Fizyczny wymiar poczucia wewnętrznego pokoju,
czyli zdrowie i macierzyństwo 141

ROZDZIAŁ VII

Romantyzm i szacunek, czyli wsparcie ze strony
męża. 184

CZĘŚĆ III

Jak na innych wpływa nasz wewnętrzny pokój

ROZDZIAŁ VIII

Wewnętrzny pokój i polityka, czyli nasz wpływ
na życie społeczne i kulturę. 207

ROZDZIAŁ IX

Nasi znajomi, czyli uznanie innych osób dla
podjętych przez nas decyzji. 214

ROZDZIAŁ X

Pomocna dłoń, czyli gdzie szukać wsparcia 229

ROZDZIAŁ XI

Wierność i załęknienie, czyli jak zaprosić Boga do
pomocy w wypełnianiu obowiązków
macierzyńskich 244

Epilog, czyli „śpiewaj swoją własną pieśń” 263

Przypisy. 265

Wprowadzenie, czyli przewijanie dziecka zmienia twój świat

Była to już czwarta wizyta u lekarza w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Najpierw rutynowe badanie mojej pięcioletniej córki, potem niespodziewana wizyta z dziewięcioletnią dziewczynką po tym, gdy dostała w szkole ataku astmy, następnie konsultacja w mojej sprawie, podczas której zdiagnozowano u mnie zapalenie oskrzeli, i w końcu ostatnie wymuszone badanie, podczas którego okazało się, że mam zapalenie przełyku, spowodowane przez pastylki, brane przeze mnie na pierwsze moje schorzenie. Czas pomiędzy tymi wizytami wypełniało mi zajmowanie się rodziną, która mieszka poza miastem i właśnie wtedy przyjechała do nas w gościnę. Byłam śmiertelnie zmęczona.

Kiedy usiedliśmy w poczekalni lekarza, mój siedemnastomiesięczny synek, jak można było przewidzieć, zaczął stroić cierpiące miny i poruszać się tak, jakby chciał mi pokazać, że atmosfera tego pomieszczenia od dziesięciu dni jest dla niego sygnałem, że teraz należy zrobić porządek z własnymi jelitami.

„Nie teraz! Nie tym razem!“. Westchnęłam tylko, gdy zorientowałam się, że przykry zapach sprawia, że ludzie w drugim kącie poczekalni podnoszą do góry brwi. Zostawiłam więc moje pięcio- i trzylatkę pod opieką

sympatycznej recepcjonistki, chwyciłam w ramiona synka i wybiegłam z nim na parking. Desperacko zaczęłam przewracać wszystko w samochodzie – „Boże! Dopomóż!” – w poszukiwaniu pieluchy, jednej pieluchy, jaka zawieruszyłaby się pośród „akcesoriów” dziecięcych w bagażniku naszej małej, rodzinnej furgonetki. Ale oczywiście, torbę z pieluchami zostawiłam w domu.

Nic. Zero. Ani jednej.

„Boże, jeśli mnie kochasz, bardzo Cię proszę! Choć jedną pieluchę! Czy to takie trudne dla Ciebie? Dla Ciebie, który przecież stworzyłeś niebo i ziemię? Widzisz przecież, jak mnie to wszystko męczy”. Wiem, że gdy zaczynam tak błagać Boga, to znak, że dzieje się ze mną coś niedobrego.

W tym momencie stanęła przy mnie jakaś starsza kobieta i zapytała, czy mogłaby mi w czymś pomóc. Uśmiechnęłam się, uprzejmie, lecz chłodno i potrząsnęłam głową. „Och, po prostu zmieniamy pieluchę. Nie, nie, dziękuję, wszystko jest w porządku. Dziękuję mimo wszystko. Do widzenia”. Oczywiście, obie rozumowałyśmy na swój sposób, lecz ona była na tyle kulturalna (lub na tyle wystraszona), że zostawiła mnie samą. Ale w tym momencie mój synek zaczął wrzeszczeć, bo gdy zaczęłam go rozbierać, przycisnęłam go ręką do siebie, na próżno starając się nie pobrudzić mu ubranka. No bo oczywiście także ubrania na zmianę zostały zapakowane do tej samej torby, co pieluchy, i zostały w domu.

Nie udało się jednak – za dużo było wcześniej soku jabłkowego.

Oszczędzę wam tu opowiadania o szczegółach całej tej sytuacji, ale powiem tylko, że wpadłam na pomysł, aby usunąć zawartość pieluchy, ale ją samą uratować. I tak już za chwilę razem z dwiema córkami, które odebrałam spod opieki recepcjonistki oraz z synkiem wkroczyłam do gabinetu i cała wizyta odbyła się tak, że w niczym nie zdradziła wcześniejszych problemów. Rzeczywiście, przykry zapach został wyeliminowany do tego stopnia, że zapomniałam przewinąć biednego chłopca, aż dopiero kiedy po paru godzinach wróciliśmy do samochodu – a tam, z kieszeni w drzwiach wypadł plastikowy worek pełen brązowych chusteczek do nosa!

Wiem, że dla tych z was, które na co dzień nie mają do czynienia z brudnymi pieluchami, za dużo tych wszystkich informacji. Zatem od przyziemnych opisów uniosę się do niebiańskich porównań. Paweł Apostoł pisze do Filipian, że nasza ofiara składana Bogu, powinna być dla Niego „wdzięczną wonią”; nasze życie powinno stać się miłą wonią dla Pana. Nie wiecie, jak po tym dniu, spędzonym w przychodni, wyraźnie widzę, że nawet nasze najmniejsze gesty mają ogromny wpływ na świat dokoła nas. Zaangażowanie się w coś, nawet tak niedoskonałego, jak wówczas miało to miejsce, sprawia, że świat się zmienia – powietrze staje się

bardziej znośne dla sześciu osób, które przyszły wtedy zobaczyć się z lekarzem.

Zmiana jednej pieluchy sprawia, że w jednej chwili zmienia się cały świat. Tego właśnie dokonują kochający rodzice. To cała filozofia, aby uwierzyć, że mój najmniejszy gest, nawet taki, który budzi niesmak, jeśli tylko rodzi się z miłości do dzieci, może je przemienić. Lecz nie tylko dzieci – przemienia także mnie, wpływa na atmosferę w domu, w szkole, kształtuje nasze uczucia. Podobnie jak Jezus, który umywał uczniom nogi, tak i my wykorzystujemy wszystkie te sytuacje, aby służyć naszym dzieciom, które nie są w stanie niczym nam odplącić. Służymy im zmieniając pieluchy, karmiąc je, śmiejąc się razem z nimi i wychowując je. A zatem, jak widać, jedna pielucha może wywołać prawdziwą rewolucję.

„Macierzyństwo” to książka o rewolucji, jaka dokonuje się w sercu, w umyśle i w duszy kobiety. Jest to zaproszenie do zgody na podjęcie wysiłku macierzyństwa, aby nim żyć w domu i w pracy. To książka dla wszystkich matek, które chciałyby nieco inaczej przeżywać swoje macierzyństwo, lecz z drugiej strony obawiają się jakichkolwiek zmian; dla matek, które zdecydowały się pozostać w domu i opiekować się dziećmi, lecz zagubiły się gdzieś pośród codziennych obowiązków; książka ta jest dla matek, które chciałyby odnaleźć własną tożsamość; dla matek, które kochają swoją pracę i choć niezmiennie twierdzą, że nikt ich nie zmu-

szał do tego, aby pozostały w domu i zajmowały się dziećmi, to potem zalewają się łzami, gdy zostają same, bo dziecko idzie do przedszkola.

Anne Roiphe w książce *Fruitful* napisała: „Nie mam wątpliwości, że feminizm, mimo jego znaczących osiągnięć, nie wyleczył mnie z macierzyństwa”. Dziś ja, po urodzeniu piątki dzieci, z dwunastoletnim doświadczeniem macierzyństwa, dochodzę do wniosku, że tak wyrażona opinia (choć oczywiście jest ona założeniem wypowiedzianym w przenośni) jest stuprocentową pomyłką. Ani macierzyństwo, ani ciąża nie są chorobą, więc nie trzeba się z nich leczyć!

Podstawowym założeniem tej książki jest przekonanie, że bycie matką nie jest żadnym rzucaniem sobie kłód pod nogi; to nie jest przeszkoda, której należałoby uniknąć na drodze do samorealizacji. Posiadanie własnych dzieci nie jest karą, lecz przywilejem. Jako chrześcijańskie matki, żyjące w świecie postmodernistycznym, powinnyśmy być świadome faktu, że choć decyzja urodzenia dziecka może wymagać odłożenia na bok lub zmiany własnych planów czy też ambicji, to jednak wcale nie oznacza, że gdy dzieci przychodzą na świat, wówczas wali się nam życie. Jeśli Bóg daje ci dziecko, powierzając twojej opiece jedną ze swych cennych owieczek, to oznacza, że macierzyństwo jest szczytem twoich kobiecych możliwości.

Wracając do mojej historii, miałam do dyspozycji tylko jedną pieluchę i choć koniecznie należało ją wy-

mienić, okazało się, że nie jest to możliwe. To oczywiste, że wyrzucenie tego, co było w środku i jej ponowne założenie nie było doskonałym rozwiązaniem. Gdyby to był mój egzamin z macierzyństwa, nie otrzymałabym za niego najwyższej oceny. Lecz nie mogłam znieść tego zapachu, który tak szybko zaczął rozprzestrzeniać się w poczekalni przychodni, nie mogłam skazać na niego wszystkich, którzy tam byli obecni. W sumie udało mi się zaradzić całej sytuacji.

Gorąco pragnę, aby niektóre z doświadczeń, jakimi podzielę się w tej książce, oraz twoje rozmowy z innymi matkami, zainspirowane tym, co tu przeczytasz, przyczyniły się do tego, że i ty pogodzisz się z macierzyństwem. Chciałabym się przyczynić do tego, abyś i ty odnalazła własny rytm, zaufała sobie i całym sercem oddała się macierzyństwu i dziecku, które powierzył ci Bóg. Oderwij czasami wzrok od szczegółów i detali życia i spójrz na całość – zobaczysz, że będziesz w stanie zmienić świat. Wykorzystaj swą wiedzę, spełnij swe marzenia, dając życie dziecku, a także zmieniając mu czasami pieluchę.

CZĘŚĆ I

Jak pogodzić kobiecość i macierzyństwo

Jak przynosić owoce, czyli o realizowaniu pobożnych życzeń

Najbardziej lubię rozpoczynać dzień od przeczytania fragmentu Pisma Świętego i poświęcenia chwili na refleksję, spacerując wśród podmokłych pól, porośniętych żurawiną, rozciągających się nieopodal naszego domu. Czasami słońce wstaje przedzierając się przez pomarańczowe chmury, a jego promienie wytryskują prosto z Jego niebieskiego tronu. Kiedy indziej światło słoneczne pobłyskuje przez moment poniżej ciemnej linii chmur, a potem nagle bum! – wystrzela blask i nagle robi się ciepło. Jest to dla mnie czas odnowy, umocnienia, duchowej łączności z Jezusem oraz nawiązania relacji ze światem, w którym przyjdzie mi spędzić cały nadchodzący dzień.

Ten poranek nie był jednak czasem duchowej odnowy. Zwlokłam się z łóżka o godzinie 7.15 i przegapiłam wschód słońca – mój czas kontaktu z Bogiem, no i uświadomiłam sobie, że jeśli natychmiast się nie ruszę, to najstarsze dzieci spóźnią się na autobus do szkoły. Byłam rozczarowana sobą, własnym lenistwem i brakiem siły, aby podnieść się i zabrać do pracy.

Później, już w ciągu dnia, wysłałam e-maila do mojego męża do pracy, żeby następnym razem „po prostu wyrzucił z łóżka tego lenia, może to zmusi mnie do zabrania się do zajęć”. Odpisał mi, że dziękuje leniowi za to, że pomógł mu wczoraj z zakupami i zakończył: „Prześpij się”.

Zaskoczyło mnie to. Zupełnie zapomniałam, że położyłam się spać gdzieś o północy – późno, jak dla mnie – ponieważ czekałam na niego, żeby mu pomóc w wypakowaniu zakupów. Przypomniałam sobie też, że nasze osiemnastomiesięczne dziecko obudziło się o 5.00 i musiałam go raz jeszcze uspić. No i w sumie godzinę później nie usłyszałam budzika.

Dlaczego czułam do siebie taką niechęć? Cała sprawa wyglądała tak: późno poszłam spać i wstałam wczesnie. Mój mąż widział, że w takim przypadku poranny spacer nie byłby najlepszym pomysłem i nie obudził mnie, ale ja tak uczepliłam się tego, co sobie zaplanowałam, że nie mogłam się pogodzić z tym, co faktycznie miało miejsce. Było tu uczucie nierealistyczne i bezsensownie destrukcyjne; niepotrzebnie zaszufłkowałam się, twierdząc, że jestem leniwa, a nabrałam takiego przekonania tylko dlatego, że nie udało mi się wstać i zabrać się do pracy. Tymczasem powinnam po prostu wylać żal, iż wszystkie okoliczności poskładały się na to, że tego dnia czułam się bardziej zmęczona niż zwykle. Przecież wcale nie byłam leniwa. Postawiłam do-

bro męża i dzieci nad własnym. W tej konkretnej sytuacji dokonałam dobrych wyborów.

Nierealistyczne oczekiwania mogą poprowadzić nas w zupełnie innym kierunku. Czasami nie osiągamy tego, co zamierzeliśmy – podobnie jak ja nie byłam w stanie wyjść na zaplanowany spacer – ale w zamian otrzymujemy o wiele większe dary, jakich wcale nie spodziewaliśmy się otrzymać.

Weźmy taki przykład: mam piątkę dzieci w wieku od dwóch do pięciu lat. Patrząc z punktu widzenia liczby pasów bezpieczeństwa w samochodzie, nasza rodzina ledwo mieści się w małej furgonetce, a już na pewno za mało jest dla niej miejsca w zwykłym samochodzie. Fakt ten bez mała sprawił, że nie dopuszczałam myśli, aby mieć więcej niż trójkę dzieci. Uwierzcie mi, że tak właśnie myślałam.

Kiedy na początku małżeństwa razem z mężem rozmawialiśmy o tym, jak wielka ma być nasza „idealna” rodzina, wtedy mówiłam: „Właściwie nie możemy mieć więcej niż troje dzieci, bo co byśmy zrobili, jeśli gdzieś na wakacjach będziemy musieli wynająć samochód? Jeśli będziemy mieli więcej dzieci, to nie zmieścimy się w takim aucie, jakie normalnie można wypożyczyć. Dlatego trójka to jest to!”. Mój mąż nie mógł wyjść ze zdziwienia, że rzeczywiście taki drobiazg może mieć wpływ na tak istotną decyzję dotyczącą naszego życia.

Dobrze, dobrze. Być może nazbyt drobiazgowo podchodziłam wówczas do każdej decyzji. Autentycznie

jednak, tak właśnie wtedy myślałam. Po paru latach i po kilku odbytych podróżach doszłam do całkowitej pewności, że gdybyśmy mieli trójkę dzieci lub nawet mniej, to nasze wycieczki byłyby istotnie znacznie łatwiejsze od tych, odbywanych z naszą pięcioosobową gromadką. Ale istnieje też i druga strona medalu – wyjazdy bez całej tej grupy straciłyby swój urok! Dziś wolę raczej spacerować wokół domu prowadząc dzieci, pchając wózek, razem z psem, zabawkami, z przyjaciółmi oraz czymkolwiek i kimkolwiek, kto może do nas jeszcze dołączyć; wolę to, niż jakąkolwiek samotną podróż, i jest to coś, czego nie byłam w stanie przewidzieć wtedy, gdy razem z mężem zastanawiałam się nad „optymalnymi” rozmiarami naszej przyszłej rodziny.

Carrie jest matką, której całkowicie wystarczała do szczęścia dwójka dzieci. Oto, co w tej sprawie ma ona do powiedzenia: „Nigdy nie myślałam o powiększeniu rodziny. Mieliśmy dwie dziewczynki: jedna miała trzy lata, a druga piętnaście miesięcy, gdy mąż zapytał: «Co byś powiedziała, gdybyśmy zdecydowali się na trzecie dziecko?». Przemyślałam to i faktycznie, po kilku miesiącach już byłam w ciąży. Kiedy w dwudziestym pierwszym tygodniu zrobiłam sobie badania, okazało się, że noszę bliźniaki – dwóch chłopców! To oznaczało, że będę mieć czwórkę dzieci, wszystkie poniżej piątego roku życia. To była przytłaczająca wiadomość. Do tej pory bardzo się zamartwiałam o dwie córeczki i po-

święcałam im wiele uwagi; jak ja teraz znajdę czas, żeby poradzić sobie z czwórką? Było to dla mnie ogromne wyzwanie, lecz nigdy nie przypuszczałam, jakie to wspaniałe żyć w tak wielkiej rodzinie. Wciąż zaskakuje mnie, jak wiele dobra z tego faktu czerpią moje dzieci. Uczą się cierpliwości względem innych i współpracy. Zawsze znajdują kogoś gotowego do zabawy. Korzyści znacznie przewyższają wszystkie troski, z jakimi borykałam się, zanim urodzili się bliźniacy. Te dzieci to prawdziwe błogosławieństwo Boże. Gdziekolwiek idziemy, zawsze stanowimy zwartą grupę”.

Carrie zastanawiała się nad tym, czy zdecydować się na trzecie dziecko, a tymczasem otrzymała trzecie oraz czwarte. Przeszła tym samym od stadium zadowolenia płynącego z faktu posiadania dwójki, przez etap wątpliwości, szoku i niepokoju o to, jak poradzi sobie z wychowaniem bliźniaków, a w końcu zaczęła uważać się za wyróżnioną przez Boga za to, że dał jej więcej dzieci, niż sama mogła sobie to wyobrazić lub zaplanować.

Historia ta jest przykładem nieoczekiwanej i niezaplanowanej radości posiadania własnych dzieci, która sprawia, że macierzyństwo jest doświadczeniem nieporównywalnym z niczym, co wcześniej udało mi się zrobić, osiągnąć lub przeżyć. Wytwarza ono niesamowitą więź, której kobieta nie może doświadczyć, zanim nie urodzi dziecka. Na tym polega zaskakujący paradoks macierzyństwa: zmieniamy się przez to, czego doświadczamy.

Doświadczenie własnej przemiany

„Macierzyństwo przemienia nas, i to nie tylko jednorazowo, lecz nieustannie”¹. „Wiele jest takich kobiet, dla których macierzyństwo oznacza pełną satysfakcję; takich, których zawodowe i społeczne ambicje po urodzeniu dziecka maleją lub stają się mało ważne. Choć wcześniej wyobrażały sobie macierzyństwo jako zwykłą, acz interesującą opcję życiową, to ostatecznie stało się ono dla nich tym, co wpłynęło na całkowitą przemianę ich systemu wartości, tożsamości i stylu życia”². Anne Roiphe, pisarka aktywnie działająca w ruchach kobiecych, w jednej ze swoich późniejszych książek napisała: „Macierzyństwo stało się dla mnie początkiem mojego feminizmu i wcale mnie to nie obchodzi, że być może była to dziwna droga zapoznania się z nim. Myślę, iż wiele kobiet zdaje sobie sprawę, że ich doświadczenie macierzyństwa leży u podstaw tej determinacji, która dodaje im sił, aby mocno opierać się wszystkim trendom, jakie mogłyby wstrząsnąć ich poczuciem tożsamości”³.

Doszłam do własnej formy feminizmu tą samą drogą, co cytowana autorka, czyli dzięki dzieciom, z myślą o których zmagam się ze wszystkimi burzami życia. Macierzyństwo przemieniło mnie, podobnie jak przemieniło wiele innych kobiet. Wyciszyło mnie, ukierunkowało, dało mi wewnętrzną energię i determinację – wszystko w takiej mierze, że czasami wręcz mnie to przeraża. Krótko mówiąc, macierzyństwo nie jest

podobne do niczego, co mogłam sobie wcześniej wyobrazić.

Dla mnie „trendy”, o których pisze Roiphe, te, które mogłyby wprowadzić dystans pomiędzy mną i moimi dziećmi, to wszystkie siły, jakie w naszych czasach mogłyby fizycznie, psychicznie, emocjonalnie, a nawet duchowo odseparować nas od siebie, wmawiając mi, że kariera jest czymś ważniejszym niż macierzyństwo.

W środowisku, w którym kobiety cieszą się bezprecedensową wolnością, od wielu z nich oczekuje się, że nawet gdy zostaną matkami (lub zwłaszcza gdy nimi zostaną), to wybiorą własne dobro i karierę oraz postawią je ponad małżeństwem i macierzyństwem. Kobiety, które aktywnie uczestniczą w przemianach, jakie dokonują się w ich życiu za sprawą doświadczenia macierzyństwa, często spychane są na margines zawodowy, bo wybrały „drogę matkowania” lub podjęły decyzję, aby skonsolidować swe życie, zrezygnować z pracy i całą uwagę skupić na domu i rodzinie. Zamiast pochwalić ten krok, piętnuje się je, bo „zostały mamami”.

Dlaczego tak się dzieje? Skąd biorą się takie oceny? Czy są one autentyczne? Dlaczego nasze poczucie własnej wartości, nasza tożsamość i poczucie zadowolenia z tego, co robimy, tak bardzo od nich zależą? Uważam, że za tego typu przekonania są odpowiedzialne następujące czynniki: (1) popularne media; (2) fakt, iż liczymy się ze zdaniem innych i oglądamy się na innych; (3) nasze matki oraz feminizm poprzednich pokoleń.

Popularne media

Nastawione przeciwko macierzyństwu przesłanie płynące ze współczesnych mediów ja sama i matki mojego pokolenia odbieramy jako brutalną propagandę. Kobięce magazyny, politycy i programy telewizyjne kuszą słowem i obrazem, usiłując nas przekonać, abyśmy na pierwszym miejscu, ponad wszystkim stawiały siebie i abyśmy nie pozwoliły małżeństwu i macierzyństwu zepchnąć nas z tej drogi. Media wmawiają nam, że my, nowoczesne matki, wyzwolone z obowiązku zajmowania się domem i dziećmi, powinnyśmy przyjąć ten model – cieszyć się wolnością! Mówi się nam, że powinnyśmy domagać się i zdobywać to wszystko oraz starać się, aby otrzymać to natychmiast. A jeśli nie mamy wszystkiego, czego oczekujemy, powinnyśmy pracować dłużej, a zarobione pieniądze przeznaczać na opłacenie tych, którzy będą zajmować się naszym domem i dziećmi, a my wtedy będziemy miały czas, aby gonić za tym wszystkim, czego pragniemy.

Codziennie konfrontuję się z obrazem „doskonałej” matki, jak choćby ta na wakacjach, pokazywana w reklamie w telewizji. Seksowna, szczupła, w modnych spodniach, chichocząca do telefonu komórkowego, podczas gdy dwójka jej dzieci spokojnie bawi się opodal (kiedy ja rozmawiam przez telefon, to moje dzieci płaczą mi się pod nogami). A ta w telewizji ciągle wisi na telefonie i flirtuje z wesołym, przystojnym mężczyzną (który może jest, a może nie jest jej mężem i ojcem jej

dzieci), który grilluje w ogrodzie przy basenie. Media mówią nam, że powinniśmy mieć dzieci, ale jednocześnie że musimy zachować figurę szesnastoletniej modelki; że powinniśmy grillować i wyjeżdżać na luksusowe wakacje; wdawać się w romanse, a wszystko to robić z uśmiechem i nigdy nie zapomnieć o świetnej fryzurze.

Jako profesjonalny fotografik w pełni zdaję sobie sprawę, że media, zwłaszcza za pomocą obrazu, wywierają ogromny wpływ na kształt naszych oczekiwań. Media właśnie, będąc głosicielami naszych kulturowych pragnień, są głównymi, bezkarnymi i niekwestionowanymi sabotażystami naszej zdolności dojścia do poprawnej i właściwej wizji tego, czym powinno być macierzyństwo. Bo która z nas nie chciałaby wyglądać jak mama z tej reklamy? Wyjechać na wakacje, romansować, śmiać się i jeść takie rzeczy jak ona? Patrząc na nią nie bierzemy pod uwagę faktu, że to wszystko to odpowiednia aranżacja. Oczekiwania z tym związane są fałszywe. „Mama” na reklamie prawdopodobnie ma szesnaście lat. Odgrywa swoją rolę dla potrzeb marketingu, a obok niej stoi zupełnie obcy jej mężczyzna, któremu ktoś zapłacił za to, żeby zachowywał się jak członek tej rodziny, a przez to, abym ja czuła się niespełniona i niepewna w roli matki – i ostatecznie żebym kupiła ten telefon, który tam reklamują.

Autor programu *American Photography; A Century of Images* wyjaśnia kulisy działania mediów, potęgują-

cych nasze pragnienia, mówiąc, że „dzisiaj za normalny i autentyczny przyjmujemy styl prezentowany w reklamach Calvina Kleina oraz obraz zdrowych, szczupłych, seksownych matek opalających się na plaży i bawiącej się opodal dwójki czystych, szczęśliwych dzieci”⁴. Ten obraz macierzyństwa nie jest jednak prawdziwszy od tego, jaki prezentowano w reklamach telewizyjnych w latach pięćdziesiątych. Tam odwoływano się do białych kobiet ze średnich klas społeczeństwa, „udomowionych”, których jedynym zmartwieniem było to, żeby ładnie ubrać swoje dzieci i dobrze wysmażyć kotlety. Narrator w tym samym programie informuje widzów, że fotografia reklamowa oraz pokazy mody mają ukazać nam, jak sami chcielibyśmy wyglądać, jak żyć, a nie jak to jest w rzeczywistości. My zaś dajemy się złapać na to podpowiadanie nam, czego oczekujemy i jesteśmy głęboko rozczarowani, gdy odkrywamy, że to wszystko nie ma nic wspólnego z realnym życiem. Choć odczucia i oczekiwania, jakie rodzą się w nas po obejrzeniu takich obrazów są czymś rzeczywistym, to jednak faktem jest, że zrodziły się na bazie kłamstwa.